

Tomasz Kozłowski
Katedra Pedagogiki i Socjologii
Wyższa Szkoła Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa, Poznań

Gadzi mózdzek albo nędza racjonalizmu

Poczucie życiowego spełnienia – od czego może zależeć? Od sukcesu zawodowego? Zaspokojenia potrzeb życiowych wyższego rzędu? Dopasowania z partnerem bądź partnerką? Od rodziny? Od życiowych pasji, realizacji marzeń? Od dobrych relacji z otoczeniem społecznym? Z sąsiedztwem, przyjaciółmi, znajomymi, kolegami z pracy? Z pewnością od wielu czynników. Nie tylko tych wymienionych. A może również od tego, czy znaleźliśmy przed chwilą monetę dziesięciogroszową? Cóż, badania sugerują, że i owszem. Absurd? Okazuje się, że osoby, którym pozwolono „przypadkowo” znaleźć kilka centów przed wypełnieniem ankiety zawierającej sakramentalne pytanie „czy jesteś w życiu szczęśliwy?”, żywot swój zazwyczaj postrzegali jako o wiele szczęśliwszy i pełny, aniżeli ci, którym radości znalezienia miedziaka poskąpiono... To tylko jeden z wielu eksperymentów, o których wspomina psycholog Daniel Kahneman, noblista, autor głośnych „Pułapek myślenia”.

Przykład ten służył jako jedna z dziesiątek fascynujących ilustracji dla smutnej teorii, którą streścić można w postaci lakonicznego i bolesnego poniekąd twierdzenia: nie potrafimy wyciągać trafnych wniosków na temat świata, na temat innych i wreszcie na temat siebie samych. Nie rozumiemy zbyt wiele z tego, co dzieje się wokół nas. Nasz umysł, nie wiedzieć specjalnie dlaczego, wyraźnie sobie tego nie życzy. Przykre, ale prawdziwe.

Kahneman wychodzi od pozornie mało spektakularnej tezy o dwóch systemach myślenia: jednym wysoce emocjonalnym, powierzchownym, opierającym się na wrażeniach, pozorach i nawykach, systemie działającym szybko i bezrefleksyjnie, oraz o systemie drugim, racjonalnym, refleksyjnym, który wnikliwie analizuje, rozbiera na czynniki pierwsze, redukującym znacznie wpływ emocji, choć absorbującym relatywnie więcej czasu. O ile 2×2 to zadanie dla tego pierwszego (odpowiedź na to pytanie to raczej silne skojarzenie, niż faktyczny rezultat działań arytmetycznych w zaciśniętym mózgu, podobnie zresztą jak np. cała tabliczka mnożenia), o tyle 27×123 to już zadanie dla drugiego. Przepaść między sposobem analizowania i przetwarzania obu zadań na wejściu najlepiej oddaje różnicę między systemem pierwszym a drugim. Szybko i bezrefleksyjnie vs. powoli i dokładnie.

Problem w tym, że znaczenie pierwszego systemu wcale nie jest poprzez funkcjonowanie racjonalnego bliźniaka umniejszone (choć od lat kładzie się ludziom do głowy, że tym właśnie różnią się od swych braci mniejszych). Więcej, skuteczność systemu drugiego jest na ogół przeceniana. Dość powiedzieć, że polem, na którym notorycznie się wykładamy jest „myślenie statystyczne”, sposób postrzegania i analizowania rzeczywistości, który pozwala trafnie wnioskować o prawdopodobieństwie niektórych zdarzeń, o ich przyczynach, o następstwach, ale i o relacjach między nimi. Rażącym przykładem nieumiejętności kojarzenia faktów jest działalność tzw. ekspertów, gadających głów, ekonomistów, psychologów, politologów, socjologów i innych omnibusów, którzy ze stoickim spokojem prognozują co popadnie, wystarczy ich tylko spytać o zdanie. Otóż na ich nieszczęście zadano sobie trud sprawdzenia trafności owych przewidywań i wyniki są bezlitosne. Zdaniem autora „Pułapek” ekspert tylko nieznacznie lepiej trafia w przewidywaniach od przeciętnego zjadacza chleba. Co gorsza, radzi sobie znacznie gorzej od mały rzucającej lotkami do

tarczy z odpowiedziami. I tyle w temacie racjonalnego namysłu, tej wisienki na torcie czcigodnych, prastarych procesów ewolucyjnych.

Wizja człowieka przedstawiana przez Kahnemana przeraża. W zasadzie zbieżna jest ona ze stanem wiedzy neurobiologów, których teorie na temat budowy mózgu mówią, że kora mózgowa, element, z którego nasz gatunek może być wyjątkowo dumny, to swego rodzaju nakładka na „gadzi mózg”, a więc na struktury ewolucyjnie stare, odpowiedzialne za funkcjonowanie emocjonalne, sztywne popędy, warunkowanie etc. („Niżej” jest już tylko pień mózgu, dzięki któremu możemy zapomnieć o oddychaniu i który od czasu do czasu przypomina, że warto coś zjeść). Kahneman idzie jednak o wiele dalej, sugerując, że ów gadzi mózg, czy też system 1, w życiu odgrywa rolę ogromną, jeśli nie dominującą. Wnioskujemy głównie na podstawie emocjonalnych wrażeń, nasze racjonalne argumenty mają niejasne, nieprecyzyjne znaczenie, często też bywają pomijane lub zastępowane innymi argumentami, o zabarwieniu emocjonalnym. Prosty efekt aureoli jest tutaj znakomitą ilustracją. Człowiek dobrze ubrany, wypowiadający się w sposób elokwentny może z łatwością zostać wzięty za eksperta z różnorodnych dziedzin: jego wrażenie, niczym halo, promieniuje na inne sfery życia i problemy, determinując sposób postrzegania go. W gruncie rzeczy pytanie o to, czy człowiek ten jest wiarygodnym ekspertem zastępowane jest przez inne: czy zrobił na mnie dobre wrażenie? Choć pytanie o wrażenie rzadko kiedy bywa już uświadamiane.

Inny przykład. Wyobraźmy sobie ekspedientkę, pracownicę dyskontu, która w wolnej chwili mówi: ta praca to ewidentny przejaw seksizmu w dzisiejszym świecie, dlaczego kobiet na podobnym stanowisku jest znacznie więcej niż mężczyzn? Pytanie: co jest bardziej prawdopodobne, że pracownica jest Polką, czy że jest Polką i feministką? Okazuje się, że na tak sformułowane pytanie gros osób wybiera wariant drugi, choć jest on – statystycznie rzecz ujmując – znacznie mniej prawdopodobny. Pojawia się wszak dodatkowa zmienna, która spektrum możliwości zawsze zawęża, a nie poszerza. Koniec dyskusji. Ludzie, okazuje się, nie pojmują, że trudniej jest wytypować trafniej dwie zmienne, niż tylko jedną.

To tylko jeden z wielu przykładów błędów popełnianych w myśleniu statystycznym, błędów, które – zdaniem Kahnemana – towarzyszą nam na każdym kroku. Błędy te zresztą przytrafiają się wszystkim, również samym statystykom, ekspertom od logiki i całej akademickiej profesurze. Błędy te legły także u podstaw kryzysu finansowego w ostatnich latach. Zadziałało tu zwłaszcza prawidło, które Kahneman nazywa: „istnieje tylko to, co widzisz”. Co się „widzi” w chwili, gdy bierze się kredyt hipoteczny? Cóż, widzi się dom, widzi się swoją szczęśliwą rodzinę, widzi się swoją comiesięczną pensję, jeśli dłużej się zastanowić widzi się swego pracodawcę i umowę na czas nieokreślony. A co się widzi po drugiej stronie biurka? Podsuwając do podpisu umowę widzi się frajera gotowego na 30 lat zapisać bankowi dom, widzi się wreszcie prowizję od sprzedanego kredytu, widzi się swoje nazwisko na plakacie „pracownik miesiąca” itd. Cen ropy, układów politycznych, wyników finansowych banku i miliona innych czynników nie widzi już nikt. Podobnie, znika perspektywa najbliższych dwóch lat, nie mówiąc już o latach trzydziestu. W tym duchu zresztą pisał nieodżałowany Vonnegut, twierdząc, że człowiek przestaje się przejmować nawet najgorszymi prognozami w momencie, gdy poczuje, że właśnie się najadł do syta.

Smutnym następstwem strategii „istnieje tylko to, co widzisz” jest optymistyczne przeszacowanie, które później wali się na łeb, na szyję, w obliczu pojawiających się, niekorzystnych faktów. Optymistyczne przeszacowania mieliśmy w sprawie wprowadzenia w Polsce euro, w sprawie setek kilometrów autostrad oddanych przy

okazji Mistrzostw Europy, optymistycznym przeszacowaniem jest cała działalność ZUS. Podobnie jak, bardziej ogólnie już, kwestia wysłania człowieka na Marsa. Obecnie z każdym rokiem ta chwalebna data jest przesuwana coraz dalej. Pojawiają się tak zwane zmienne niewiadome, których wcześniej nie brano pod uwagę. Nikt pod tym względem nie przeszacował bardziej niż Arthur C. Clark, który na rok 2001 zaplanował ekspedycję na Jowisza. Przykładów takich rzecz jasna każdy może dostarczyć całkiem sporo.

Jeszcze przed lekturą „Pułapek” stworzyłem na swój użytek pół-żartem, pół-serio, pojęcie „współczynnika inercji”, przez który przemnażałem wszystkie plany, w których dane mi było uczestniczyć. W zależności od składu osobowego projektu współczynnik inercji rozciągał się od 1,2 do 1,7 (jeśli wartość współczynnika szacowałem wyżej, wycofywałem się z inicjatywy). Jak to działa? Jeśli zespół założył sobie, że zrobi coś w 10 dni, w zależności od charakteru, motywacji, nastawienia tworzących go osób, zakładałem, że upora się z zadaniem w przedziale od dni 12 do 17. I tak dalej. Rzadko kiedy byłem pozytywnie zaskoczony. Bardzo możliwe, że gdyby zapął tworzenia planu utrzymać w każdej godzinie, efekt faktycznie pojawiłby się już po 10 dniach, jednak zespoły zwykle zapominają, że poza chwilą bieżącą jest jeszcze proza życia, która męczy, która zabiera czas, która rozleniwia, zrzedzi, każe się najeść, wyspać, rozerwać *et caetera...* Istnieje tylko to, co widzisz. Plan działania i ogólne, chwilowe, ale dobrze widoczne, zmotywowanie paru gości... I tak jest – zdaniem Kahnemana – we wszystkich dziedzinach życia.

A zatem rozciągnijmy te gorzkie wnioski na całą populację. Raptem okazuje się, że jako społeczeństwo funkcjonujemy we wszechświecie, w którym racjonalność, myślenie statystyczne i planowanie są w zasadzie amputowane, w świecie, o którym w dalszym ciągu decyduje gadzi umysł i poczucie sytości, od pokus i podszeptów którego w zasadzie nikt nie jest wolny, od zwykłych zjadaczy chleba po światowej sławy ekonomistów i statystyków.

Kahneman co prawda daje masę wskazówek, w jaki sposób wpływ owej emocjonalnej huśtawki niwelować, mimo to zakładam jednak, że trend w hegemonii gadziego myślenia będzie się tylko pogłębiał. Wiele na to wskazuje. Świat, w którym żyjemy, świat reklam, mediów, Internetu, odwołuje się przede wszystkim do gadzich struktur, stwarza jedynie pozory myślenia racjonalnego, niezbędnego do przetwarzania informacji. (Masz głowę na karku, ty decydujesz – przekonują reklamy. Bzdura. Cały marketing jest jednym gigantycznym świadectwem na rzecz tezy, że decyzję podejmuje się za konsumenta. Pytanie tylko, kto robi to pierwszy: my, czy konkurencja). W ten właśnie – gadzi – sposób funkcjonuje popkultura i społeczeństwo konsumpcyjne. Zaspokajanie potrzeb, myślenie krótkoterminowe, impuls – wszystko to stoi w sprzeczności z racjonalnymi dogmatami nowożytnej ekonomii, więcej, nowożytnego humanizmu. A ten uczy nas, że nie tylko potrafimy być bardzo racjonalni, ale że ludźmi stajemy się właśnie dlatego, że planujemy, umiejętnie kojarzymy fakty, prognozujemy, a wszystko to, rzecz jasna, dla dobra i chwały bliźniego naszego, dla dobra całej ludzkości. A figa.

Często, gdy udziela mi się kasandryczny ton i dają się sfrustrować tym czy owym, zadaję sobie retoryczne pytanie: dlaczego zawsze musi być tak, że tyle kluczowych kwestii zależy od idiotów? Dlaczego ludzie nie potrafią rozmawiać, dlaczego nie potrafią się słuchać, koncentrują się na sprawach nieistotnych, zatrzymują w pół kroku, nie dostrzegają prostych rozwiązań? Dlaczego nie potrafią wznieść się ponad jednostkowy interes? I dlaczego tak wiele od tego zależy? Gdy już schodzi ze mnie ciśnienie, dochodzę do wniosku, że te pytania są pozbawione większego sensu. Ludzie po prostu nie umieją inaczej. Średnia jest dużo, dużo niżej, niż na ogół się wydaje, czy niż byśmy sobie tego

życzyli. Niestety, o średniej zapominamy dzięki szczytom, które są relatywnie rzadkie, krótkotrwałe i zindywidualizowane, ale za to spektakularne. Da Vinci, Kopernik, Kant, Newton, Edison, Einstein, Hawking, to oni i im podobni geniusze wyznaczają nam horyzont. Ale nie trzeba szukać tak wysoko. Zawsze znajdzie się ten najlepszy, to nieliczne grono, które radzi sobie o wiele lepiej niż cała reszta, to magiczne 20% gości, które konsumuje aż 80% tortu. Dramat bierze się stąd, że z tak wysoko zawieszoną poprzeczką zmagają się nieruchawy ocean przeciętniactwa. I frustruje się, że tak nie potrafi, choć przecież można, bo tamtym się udało. Poruszając się od szczytu do szczytu, zapominając o przełęczach i dolinach, historia ludzka, czy – jakby powiedział Orwell – ludzki duch, zapomina o tym mrowiu zgromadzonym poniżej, które na ogół nie rozumie nic, a przynajmniej bardzo niewiele. Postawiliśmy człowieka na Księżycu? Przepraszam, jacy my?

Dramatyzm tej sytuacji polega na tym, że dzięki nielicznym stosunkowo koryfeuszom wypracowaliśmy sobie standardy, które wcale standardowe nie są. Równać do nich niezmiernie trudno. A będzie trudniej. Dlaczego? Okres, w który wkraczamy absolutnie nie faworyzuje racjonalnego namysłu, rzec nawet można, że jest stworzony na potrzeby gadziego mózgu: by dostarczać określonych emocji, motywów do konsumpcji, schlebiana naturalnym instynktom, o czym zapisano wszak kilometry tomów.

Kahneman tragicznych skutków pójścia na skróty doszukuje się przede wszystkim w wymiarze ekonomicznym życia społecznego. Nie potrafimy ocenić swojej siły nabywczej – mówi – gubimy się w prostych obliczeniach i prawidłowościach, sami na siebie zastawiamy mordercze pułapki i tonimy, gdy jest za późno. Książka ta w gruncie rzeczy jest jedną wielką polemiką z mitem *homo oeconomicusa*. Nie widzę jednak powodu, by tezy Kahnemana ograniczać do ekonomii i krytyki teorii racjonalnego wyboru. Gadzi mózg towarzyszy nam przecież w każdej sekundzie życia, nie tylko wówczas, gdy przychodzi nam analizowanie wykresów statystycznych, wyciąganie wniosków z dostępnych danych, branie kredytu hipotecznego, czy prognozowanie zachowań indywiduów. Choć kultura to wytwór tzw. kory nowej, gadzi mózg uczestniczy w niej całutki, do ostatniego neuronu, czy to się korze nowej podoba, czy nie.

System ten ma – prócz myślenia skojarzeniowego – całą masę innych cech, które najpełniej, u ludzi zaś zaledwie pośrednio, ujawniają się w świecie zwierzęcym. Gadzi układ dobrze działa na gruncie pomieci krótkotrwałej. Nie jest natomiast w żadnej mierze zdolny do tworzenia pamięci autobiograficznej. Zanurza swego „posiadacza” w świecie nieskończonej terażniejszości, bez „przedtem” i „potem”. Kontakt ze światem zewnętrznym zapewniony jest nie tyle przez procesy świadome, ile przez samo kierowanie uwagą. Umysł, który działa w ten sposób obejmuje zaledwie część otaczającego świata, nie posiada koncepcji całości, czy też – jak mawiają neuropsychologowie i kognitywiści – „sceny”. W kategoriach świata kultury rzec by można, że wszystko wyrывa z kontekstu. Wiele wskazuje na to, że z dobrodziejstw gadziego mózgu korzystają osoby autystyczne, dzieci poniżej trzeciego roku życia oraz osoby z rozległymi uszkodzeniami kory mózgowej. Wszystkich tych ludzi łączą te same cechy: ogromna podatność na bodźce zewnętrzne, nadmierna, nieokiełznana emocjonalność, ograniczone rozumienie obowiązujących norm społecznych, czy wreszcie upośledzona lub nierozwinięta samoświadomość. Dopiero biegłość w każdej z tych płaszczyzn zbliża nas do Smithowskiego ideału *homo oeconomicusa*. Racjonalność wyboru ekonomicznego to obszar bardzo bliski temu, co antropologowie społeczni rozumieją poprzez zachowania *stricte* kulturowe, jako że w jej obrębie racjonalne działania zajmuje centralne miejsce. A skoro tak, to może pójść nieco dalej i

przeprowadzić paralełę pomiędzy światem ekonomii i światem kultury? Kryzys, największy od kolapsu zapoczątkowanego pamiętnym czarnym czwartkiem, wziął się z podszeptów systemu pierwszego: konsumowano ponad stan aż misterny gmach gospodarki zawałił się z hukiem. Popkultura, odwołująca się głównie do myślenia emocjonalnego i potrzeb konsumpcji, może być wyrazem, ewentualnie zwiastunem, kryzysu o podobnej skali na gruncie zarezerwowanym dla tego, co kulturze właściwe: refleksji, samoświadomości, działania usankcjonowanego społecznie. Dlaczego nie przyjąć założenia, że niepohamowane apetyty i kierowanie się emocjami wywołują impasy nie tylko na rynku, ale i w świecie znacznie bardziej subtelnym, świecie idei i wartości?

Do osobliwych cech gadziego mózgu, które bezpośrednio wynikają z nieustannego zanurzenia w terażniejszości należy również wąska perspektywa i tendencja do szybkiego poddawania się „zbawiennym” skutkom upływu czasu. Kahneman przytaczał niezwykle prosty, choć jednocześnie sugestywny eksperyment. Badano dwójkę pacjentów doświadczających intensywnego bólu towarzyszącego kolonoskopii (jakiś czas temu kolonoskopię przeprowadzano bez znieczulenia, dziś szczęśliwie odchodzi się już od tych praktyk). Jednego z nich badano przez minut pięć, drugiego – aż dwadzieścia. Obaj najwyższe natężenie bólu oceniali na 8 w skali od 1 do 10. Pierwszy, szczęśliwy pięciominutowiec, odczuwał silny ból, który gwałtownie się zaczynał i kończył. Drugiemu masakrowano trzewia cztery razy dłużej, aczkolwiek ból słabnął z upływem czasu, przy dwudziestej minucie spadając do łatwiej akceptowalnego poziomu. Pytanie brzmi: który nacierpiał się bardziej? Fakty mówią wprost: drugi. Cierpiał dłużej a górna granica jego bólu była identyczna, jak u pierwszego. A jednak ich deklaracje były diametralnie różne od oczekiwań. Pierwszy, cierpiący krócej, całość odczuwał jako traumę nie do pozazdroszczenia. Drugi ocenił całe badanie jako bolesne, ale względnie znośne i choć namordował się dłużej, malejący z czasem ból, choć wciąż intensywny, postrzegał w kategoriach... ulgi. Coś w tym jest: ból, którego natężenie wyraźnie i zauważalnie maleje, może być niemal doświadczeniem przyjemnym. Kluczowy komponent, który ma w tym wypadku zasadnicze znaczenie w analizie nieprzyjemnego bodźca to naturalnie emocje. Obiektywny fakt, że ból jest wciąż bardzo silny jest pomijany, liczy się, że maleje. A to już na swój sposób doświadczenie kojące. Nie zmienia to faktu, że obiektywnie rzecz ujmując – bardziej opłaca się poddać zabiegowi krótszemu. Niestety, badani mówią co innego. I tym razem racjonalność za sprawą starych struktur neuronowych ponosi klęskę.

Zastanawia mnie, na ile prawidłowość ta – skupiania się na wartościach skrajnych a ignorowanie średniej – przekłada się na sprawy bardziej ogólne niż kolonoskopia. W jaki sposób przejawiać się to może w obszarze szerszej refleksji, nad sobą, nad swoim życiem, nie tylko w kontekście ostatnich kilku chwil, ale powiedzmy lat, czy dekad. To, że poddajemy się takim myślowym skrótom na przestrzeni bieżących paru minut nie ulega wątpliwości. Prosty przykład to choćby kupno losu na loterii. Stosunkowo niskie „wkupne” i bajeczna wygrana wystarczają, by marzyć o przyjemnym leniuchowaniu aż do grobowej deski. Wartości pośrednie, a więc trudna do ogarnięcia myślą otchłań nieprawdopodobieństwa, są już cichcem pomijane, a przynajmniej nie do końca uświadamiane, niechętnie akceptowane...

Pytanie jest bardziej niż zasadnicze: czy oceniamy swoje życie z perspektywy wyrazistych, jednorazowych strzałów, sporadycznych szczytów, sukcesów, osiągnięć, ale i spektakularnych porażek, czy może wartości pośrednich. Cóż, spodziewać się można, że mamy tendencję do obierania strategii pierwszej. Przy okazji cyklicznego tematu

bilansu roku minionego (który to temat jest w mediach wałkowany do znudzenia w okolicach Sylwestra i Nowego Roku), natknąłem się na ciekawe skądinąd twierdzenie, jakoby według psychologów ludzie postrzegali miniony rok w świetle trzech, góra czterech wydarzeń „kluczowych”. Do takich zaliczać się mogą śluby, rozwody, zakup mieszkania, narodziny dziecka, nowy samochód, awans, zmiana albo i utrata pracy, śmierć kogoś bliskiego etc. Ilość oraz kierunek tych wydarzeń (*in plus* bądź *in minus*) przesądzać mają o tym, czy czas miniony był w naszym odczuciu dobry bądź zły. Zapominamy jednocześnie o wartości pośredniej, szarawej codzienności, w tej części świata raczej spokojnej, zapominamy, że przez kryzys przeszliśmy na pułapie, którego zazdrości nam jakieś 90% ludności Ziemi (nawet nie uświadamiamy sobie, dla ilu ludzi nasza średnia krajowa to absolutnie nieosiągalny w skali całego życia poziom!). Dzień powszedni się nie liczy. Z tych właśnie powodów wydawać się może (na nasze nieszczęście), że prawo ignorowania średniej funkcjonuje z powodzeniem nawet przy pogłębionej refleksji, nie tylko pod wpływem danej chwili. *Notabene*, jak bowiem tłumaczyć fascynację czasami PRL-u, która najwyraźniej świetnie się ma w dobie popkultury? Odnieść można wrażenie, że większość współczesnych konsumentów postrzega komunę przez pryzmat kilku, kilkunastu komedii, paru programów rozrywkowych, przepuszcza również przez sielski filtr dzieciństwa, a akurat czasy dzieciństwa gloryfikowane są niemal zawsze. Średnie wartości są pomijane. Przepaść, jaka dzieli te wybiórczo interpretowane punkty szczytowe od wartości typowych dla tamtego czasu jest jednak wciąż ogromna (wszystkich tych, którzy zaśmiewają się do łez choćby z postaci kreowanych przez Jerzego Dobrowolskiego odsyłam do „Wspomnień moich pamiętników” tegoż autora, stronic z uwagi na ciężar autentyzmu i rozpaczy trudnych do przebrnięcia, przy których taki „Oddział chorych na raka” wydaje się dziełem raptem melancholijnym). To tylko przykład pierwszy z brzegu, ale sądzę, że ślady takich kalekich operacji myślowych dostrzec można wszędzie (aczkolwiek tęsknota za tym, co było jest przejawem bardzo dobitnym i ponadczasowym, przy okazji, świetnie jej absurd zdemaskował Woody Allen w „O północy w Paryżu”).

Na podobne tropy można natrafić w pracach Martina Selingmana pioniera tzw. psychologii pozytywnej, czyli gałęzi psychologii skupiającej się na mechanizmach stojących za odczuwaniem szczęścia. Selingman wskazuje, że niebezpiecznie często potrafimy przekreślać pozytywny dorobek kilkunastu lat stając twarzą w twarz z problemem trwającym relatywnie krótko, powiedzmy kilka-kilkanaście miesięcy. Za dobrą egzemplifikację może posłużyć myślenie o trwającym związku, który akurat przechodzi kryzys. Choć początki były euforyczne, choć znaczna część była spokojna i dawała poczucie stabilizacji, realizacji, rozwoju, ostatnie miesiące, które stały się nie do zniesienia rzutują na wszystkie poprzednie lata i oto dochodzimy do wspaniałej puenty: straciliśmy czas. Zdaniem Selingmana to najgorsze, co możemy zrobić. Kahneman powiedziałaby, że właśnie zadziałał system pierwszy. Niepodważalny fakt kilkunastoletniego wzrostu został w mgnieniu oka zanegowany przez relatywnie krótki kryzys.

Przeskok od gadziego mózgu, kolonoskopii, badań nad postrzeganiem osobistych emocji, aż do percepcji i interpretacji własnej historii może wydaje się nieuzasadniony, a przynajmniej ryzykowny, odnoszę jednak wrażenie, że wyżej opisywane zjawiska mają wiele wspólnych cech. Krytyka *homo oeconomicusa* i psychologia pozytywna w znaczących punktach mówią jednym językiem. Nie zapominajmy, że podmiotem wszystkich tych zdarzeń jest wciąż ten sam człowiek, istota, która, już z czysto biologicznego punktu widzenia, bez emocji nie potrafi funkcjonować (osoby niezdolne

odczuwać emocji popadają w depresję, która jest nie tyle głębokim smutkiem, ile paraliżującym myślenie i działanie brakiem doznań). Emocje towarzyszą nam stale, a generują je zawsze te same, stare ewolucyjnie układy neuronalne. To pozwala przypuszczać, że luki w racjonalnym myśleniu towarzyszą nam w każdej minucie, w każdej dziedzinie życia.

Możemy niestety tylko zastanawiać się nad skalą tego zdradliwego zjawiska. Przypuszczam, że głębsza analiza treści popkulturowych, a więc – rzecz można – tego osobliwego *credo* czasów współczesnych ujawniłaby do jakiego stopnia oddziałuje ona na nasze emocje z pominięciem racjonalnego namysłu. Ideologia konsumeryzmu jest sprzeczna z logiką, w gruncie rzeczy uważam, że odrobina tej drugiej jest śmiertelnym wrogiem etyki nabywania, o której szerzej rozpisuje się choćby Jonatan Barber. Rynek krzyczy do nas na całe gardło: Nie ma czasu na zastanawianie! *Carpe diem!* A skoro tak, skoro w tak bardzo rozemocjonowanych i rozedrganych czasach przyszło nam żyć, skoro media się tabloidyżują, skoro polityka zamienia się w podszyty cynizmem populizm, skoro drugim imieniem przedstawiciela młodego pokolenia staje się „Narcyz”, to można domniemywać, że w Kahnemanowskie pułapki wpadać będziemy tym łatwiej i częściej.

Tytułem puenty. Sam także przeszacowałem. Czas przygotowania powyższego tekstu również musiałem przemnożyć przez współczynnik inercji, haniebnie wysoki zresztą, do czego z goryczą się przyznaję. Redakcję przepraszam i dziękuję za cierpliwość.

Tomasz Kozłowski jest adiunktem w Katedrze Pedagogiki i Socjologii w Wyższej Szkole Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa w Poznaniu. Zajmuje się socjoantropologią popkultury i psychologią ewolucyjną. Jego ostatnia książka „Samotny hulaka. Rzecz o proto-kulture ery pop” ukazała się nakładem Oficyny Wydawniczej ŁośGraf